

Przeżyłam szok kulturowy. Tam żony się nie całuje i nie przytula

Joanna Tanaka przez 3 lata mieszkała w kraju męża, Japończyka. Swoje spotkanie z egzotyczną kulturą opisała. Wszyscy, którzy ciekawi są wrażeń oborniczanki mogą o nich przeczytać w książce "Do ostatniego ziarenka ryżu". Autorka opowiada nam o życiu w tym dalekim kraju, zwyczajach i różnicach kulturowych.

Właśnie ukazała się książka Pani autorstwa zatytułowana "Do ostatniego ziarenka ryżu". Czy można ją już kupić?

Joanna Tanaka: - Książka istotnie wyszła. Można ją kupić na stronie Wydawnictwa Sorus albo w formie e-booka, m.in. na takich stronach jak: legimi.pl, taniaksiążka.pl, ibook.pl oraz upolujebooka.pl.

Skąd wziął się pomysł na napisanie książki?

- Pomysł podsunęła mi zupełnie obca osoba. Mieszkałam w Japonii przez 3 lata i chciałam jakoś udokumentować swój pobyt w tym kraju. Na początku zamierzałam prowadzić bloga, ale nie miałam w tym żadnego doświadczenia. Pomysł więc zarzuciłam, bo nie chciałam robić tego byle jak, a dobrze zrobić nie umiałam. Potem przyszło mi do głowy kręcenie filmików o Kraju Kwitnącej Wiśni, ale do tego trzeba mieć profesjonalny sprzęt, tego nie kręci się telefonem, bo znów wyjdzie źle. Któregoś dnia Beata, moja polska przyjaciółka zaproponowała, żebym napisała książkę. Nie była zresztą pierwszą osobą, która to sugerowała. No i pomyślałam: "dlaczego by nie spróbować". Przez trzy lata w Japonii prowadziłam luźne zapiski. Zebrałam się całkiem spory materiał - 6 grubych zeszytów. Po powrocie do Polski przepisałam to wszystko i tak powstała moja książka. Muszę dodać, że tytuł "Do ostatniego ziarenka ryżu" wymyśliła właśnie moja przyjaciółka, Beata, która kiedyś w jednej z naszych rozmów wspomniała, że zawsze pamięta o tym, że ryż w Japonii – ze względu na szacunek do japońskiej kultury – należy zjeść do ostatniego ziarenka. Tytuł też jest swego rodzaju przenośnią, ponieważ każdy dzień w tak obcym dla mnie kraju kosztował mnie tyle samo wysiłku, co zjedzenie całej miseczki ryżu. I tak jak musiałam zjeść ryż do ostatniego ziarenka, tak samo musiałam przeżyć każdy kolejny dzień: od samego początku do samego końca.

Zapiski okazały się bardzo pomocne?

- Oczywiście. Człowiekowi wydaje się, że o czymś będzie pamiętał, a to po pewnym czasie umyka, bo pamięć ludzka jest zawodna. Wielokrotnie, pisząc książkę, zupełnie nie pamiętałam, że coś miało miejsce i zaglądając do notatek byłam zdziwiona, że coś takiego w ogóle mi się przydarzyło. W nowym kraju było tak wiele bodźców, taki "szum informacyjny", że wiele zdarzeń umknęło z pamięci i dzięki tym zapiskom, czasem wręcz tylko hasłowym, książka powstała.

Jak wyglądało spotkanie Polki z zupełnie inną, egzotyczną kulturą?

- Ja sobie Japonię wyobrażałam inaczej. Przeżyłam prawdziwy szok kulturowy i zawsze podkreślałam, że inaczej widzi się obcy kraj okiem turysty, a inaczej jest kiedy zaczyna się tam żyć. Miałam okazję zobaczyć Japonię okiem turystki, kiedy pojechałam odwiedzić przyjaciółkę poznaną na kursie językowym w Australii. Potem zobaczyłam ten kraj jako narzeczona, a później żona Japończyka. Różnica była kolosalna. Człowiek styka się z zupełnie innymi problemami, inne wyzwania przed nim stoją. To było ogromne zaskoczenie i wydaje mi się, że ludzie nie do końca mają świadomość tej różnicy. Przyznam, że dziwi mnie, gdy ktoś, kto wyjedzie do obcego kraju na 2 tygodnie, myśli że wszystko wie, uważa się już za eksperta. A to jest zupełnie inny punkt widzenia. Są nawet takie książki napisane "okiem turysty", ale czytając je trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że nie mają one wiele wspólnego z codziennym życiem opisywanego kraju.

Podtytuł książki brzmi "Czyli jak Polka przetrwała w Japonii". Co dla Pani było w tym kraju najtrudniejsze?

- Mojego męża poznałam w centrum Tokio, a później zamieszkaliśmy na prowincji. Byłam przekonana, że tam wszyscy będą mówić po angielsku, a tak wcale nie było. Dotarło do mnie, że mogę mieć problem z porozumieniem. Wszystko było dla mnie wyzwaniem: wizyta u lekarza, wysłanie paczki do Polski, założenie konta w banku. Ci ludzie nie znali angielskiego w takim stopniu, aby można się było z nimi porozumieć. Panuje jakieś takie błędne przekonanie, że wszyscy Japończycy mówią po angielsku, a to mit. Wielokrotnie zastanawiałam się, nawet na kartach mojej książki, skąd wzięło się to przekonanie o znajomości angielskiego w Japonii. Możliwe, że tak uważamy dlatego, że to bardzo mądry naród, wysoko rozwinięty technologicznie. Druga sprawa to to, że Japończycy spotykani w Polsce to często kontraktowi pracownicy dużych korporacji. Oni muszą posługiwać się angielskim. Natomiast japońskiej prowincji, która jest bardzo tradycyjna, nie jest ten język po prostu potrzebny. Ja miejscowych ludzi traktowałam ze zrozumieniem, bo nauka języka angielskiego stanowi dla Japończyka taką samą trudność jak dla nas chiński. Jest to język z zupełnie innej rodziny językowej, zupełnie inny alfabet, inna wymowa, inna melodia języka. Polakowi jest łatwiej uczyć się angielskiego. Japończyk staje przed językiem, który nie jest w żadnym stopniu podobny do ich własnego. To się powoli zmienia, bo Japończycy widzą ten problem. Wysyłają małe dzieci na lekcje, zatrudniają nauczycieli z Australii, Nowej Zelandii, USA po to, żeby dzieci oswoiły się z brzmieniem tego języka. Ale na prowincji jest duży problem z komunikacją.

Czyli życie utrudniała najbardziej bariera językowa?

- Ja zaczęłam uczyć się języka dopiero po przyjeździe do Japonii i przecież nie zaczęłam posługiwać się nim od razu. Problemem bywało wszystko. Jednym z wyzwań, z którymi musiałam się zmierzyć, była choroba mojego męża. Trafił do szpitala, ja się nim opiekowałam i musiałam jakoś tam się porozumieć, a nie do końca potrafiłam. Mąż wrócił do domu ze sparaliżowaną twarzą i powiedział, żebym zadzwoniła po karetkę. Bałam się, wiedziałam, że dyspozytor prawdopodobnie nie będzie mówił po angielsku i okazało się, że się nie myliłam. On mnie nie rozumiał, a ja byłam roztrzęsiona, zdenerwowana, nie wiedziałam co stało się mojemu mężowi. Dobrze, że mąż był w stanie wezwać tą karetkę, bo ja nie potrafiłabym tego zrobić bez znajomości języka. Bo gdzie właściwie miałabym szukać pomocy? Najbliżsi sąsiedzi nie mówili po angielsku, więc im też nie mogłabym wytłumaczyć o co chodzi. Karetka przyjechała, lekarz nie potrafił się ze mną porozumieć. Zabrali męża, a ja zostałam w domu i byłam przerażona, bo ci ludzie nie mogliby nawet przekazać mi żadnej informacji o stanie mojego męża. Trzeba byłoby

kontaktować się z ambasadą. Czułam się bezradna. Nikogo tam nie miałam, bo moja przyjaciółka mieszkała w Jokohamie, daleko. To był dla mnie bardzo trudny czas, ale na szczęście wszystko skończyło się dobrze.

A jak widzieli Panią Japończycy?

- W Japonii spotkało mnie bardzo wiele, zarówno przyjemnych rzeczy, mniej przyjemnych, były nawet rzeczy straszne. Byłam jedyną białą kobietą wśród kilku tysięcy mieszkańców. Patrzyli na mnie z dość dużym zainteresowaniem. Byłam rozpoznawalna, wszyscy wiedzieli, że jestem żoną tego pana Tanaki. Nabrałam szacunku do obcej kultury, na wszystkie obce kultury patrzę teraz z większą pokorą. Najpiękniejszym prezentem, jaki mi się tam przytrafił była moja teściowa. Wysłałam za męża po paru miesiącach pobytu w Japonii i mój mąż postanowił przedstawić mnie swoim rodzicom, którzy mieszkają na prowincji w bardzo malowniczej miejscowości pod górą Fudzi, która jest również wulkanem. Moją teściową odwiedziłam po raz pierwszy wówczas, gdy byłam już żoną jej syna. Przyznam szczerze, że bardzo bałam się tej wizyty. Nie wiedziałam jak zostanie przyjęta. Teścia nie było, poznałam go później. Moja teściowa czekała na mnie na dworcu, była po chorobie, bardzo słaba po powrocie ze szpitala, ale wyszła na dworzec. Nie wiedziałam, jak mam się z nią przywitać, bo w Japonii każdy gest ma znaczenie. Ona podeszła i objęła mnie, chociaż Japończycy tego raczej nie robią, i powiedziała: "przez całe życie miałam jedną córkę, a teraz mam dwie". Pokazała, że w pełni akceptuje mnie w rodzinie. Przez całą wizytę trzymała mnie za rękę, dawała odczuć, że jestem mile widziana w jej rodzinie. Pytała o polską kulturę, również o to, czy moi rodzice zaakceptowali mojego męża. Chciała mi pokazać, że szanuje moją kulturę. Kiedyś mąż zadzwonił do matki i powiedział, że kupił coś dla mnie w sklepie Daiso, to taki odpowiednik naszych sklepów za 5 zł. I dostał od niej wielką reprimendę, że to wstyd, że to poniżenie dla mnie i że od tej pory ma mi robić najdroższe prezenty, bo ja na takie zasługuję. Pokazała, że jest po mojej stronie i że jestem dla niej ważna. Widać było w niej ogromne serce. Mam w niej wsparcie. Ta świadomość, że jest się zaakceptowanym, jest ważna.

Równie ciepło przyjął Panią ojciec męża?

- Mój teść jest profesorem uniwersyteckim, często wyjeżdża, wtedy był z wykładami w Chinach. Byłam bardzo ciekawa jego przyjęcia. Kiedyś mąż mi powiedział, że jak teściowa powiedziała jego ojcu, że ich syn ożenił się z Polką, to teść skwitował to jednym słowem "rozumiem". Ja dociekałam, co to znaczy, bo wydawało mi się że mnie nie akceptuje, że mnie nie chce. A mój mąż na to, że przeciwnie, właśnie mnie akceptuje, bo gdyby było inaczej, to wpadłby z awanturą do naszego domu, oddalonego o jakieś 100 km. Po prostu mężczyźni japońscy nie mówią wiele. To było jedno słowo, w którym zawarte było wszystko: przyjęcie faktu do wiadomości, akceptacja itp. W ogóle rodzina męża przyjęła mnie wspaniale, byłam dla nich nowym członkiem rodziny, a nie kimś obcym. Bardzo to doceniam, bo trzeba pamiętać, że przybysz z obcego kraju kulturowo jest dla Japończyka kimś obcym. To wypływa z tradycji, bo przecież ten kraj był bardzo długo zamknięty na obce wpływy. Dopiero niedawno otworzył się na świat. To się oczywiście zmienia, mieszanych małżeństw jest coraz więcej, ale brak akceptacji jeszcze się zdarza.

Jacy są Japończycy?

- Inni niż my. Kiedyś zapytałam mojego męża, czy jego rodzice się kochają, czy teść powiedział żonie, że ją kocha, a on mi na to, że chyba żartuję, bo japońscy mężczyźni nie mówią takich

rzeczy. W tej kulturze nie mówi się żonie, że się ją kocha, żony się nie całuje, nie przytula. Mój mąż był za każdym razem bardzo zdziwiony, kiedy ja go próbowałam przytulić albo pocałować. Ale tam się tego nie robi. Było mi z tego powodu przykro, ale potem się do tego przyzwyczaiłam. My oceniamy tę kulturę z punktu widzenia naszej, zachodniej. często jest tak, że Japończyk idzie pierwszy, a kobieta za nim. Na mnie bardzo złe wrażenie robiło to, że żona jest zostawiana z tyłu. Dopiero mąż mi wytłumaczył, że to się bierze jeszcze z czasów samurajów, kiedy mężczyzna chronił kobietę przed atakiem. Mój mąż natomiast w ogóle nie mógł zrozumieć, dlaczego w Polsce mężczyzna puszcza kobietę przodem, przecież naraża ją tym na niebezpieczeństwo. To był dla niego prawdziwy szok kulturowy. Życiem Japończyka rządzą surowe zasady. Szczególnie dotyczy to kobiet. Są reguły na to jak kobieta siedzi, mówi, nawet jak ściąga obuwie. Ale tak jak mówiłam, dotyczy to kobiet, bo mężczyźni mogą czuć się znacznie swobodniej. A od kobiet oczekuje się pewnej powściągliwości. Kobiety mówią, modułują nawet głos w określony sposób, mówią piskliwymi głosikami, więc Europejki muszą dla nich brzmieć wręcz jak mężczyźni. Kobiety starają się być bardzo uprzejme, grzeczne, dobrze wychowane. Każdy ich gest jest ściśle kontrolowany. Mąż czasem miał nawet pretensje, że siedzę, tak jak mężczyźni, czyli po turecku, a nie tak jak powinna siedzieć kobieta, czyli na kolanach. Albo niewłaściwie chodzę, bo Japonki stawiają duże mniejsze kroki. Bał się, że moje zachowanie, każdy mój najdrobniejszy gest, uśmiech, spojrzenie, może w tym środowisku zostać odebrane, jako bardzo wulgarne. Największą trudność sprawiało mi to, że ja musiałam się zachowywać tak samo jak te kobiety a nie zawsze potrafiłam. Miałam przyzwyczajenia wyniesione z innej kultury, inaczej się zachowywałam, nie znałam wielu zasad i reguł, które są Japonkom wpajane od kołyski. Od turystki z Europy nikt nie wymagałby żeby zachowywała się tak jak Japonki, ale od żony Japończyka już tego wymagano. Jeżeli zachowywałabym się swobodnie i nie dostosowałabym się do miejscowej kultury, to do mojego męża przestałaby się odzywać cała dzielnica i nikt nigdy nie powiedziałby mu już dzień dobry. Ludzie odebraliby moje swobodne, europejskie zachowanie, jako brak szacunku do japońskiej kultury.

Dziwiło Panią wiele rzeczy?

- Byłam często zszokowana. Przykładowo, kiedy pracowałam jako opiekunka dla dzieci, zobaczyłam u moich podopiecznych sińce na całym ciele. Piszę o tym dokładnie w mojej książce, tu powiem tylko, że podejrzewałam, że ktoś się nad nimi znęca, a okazało się, że są to plamy mongolskie, czyli znamiona skórne. Zjawisko, które u Azjatów jest powszechne, u rasy białej zdarza się sporadycznie. Wiele takich historii opisuję w mojej książce.

Zbliżają się święta Bożego Narodzenia, jak ten okres wygląda w Kraju Kwitnącej Wiśni?

- Japończycy są zafascynowani Bożym Narodzeniem. Oni chyba po prostu lubią te dekoracje i tę specyficzną niepowtarzalną atmosferę. W okresie świątecznym, wchodząc do marketu i widząc choinki ubrane jak nasze, czułam się jakbym była w Polsce. Jednocześnie pokazuje to wielką tolerancję Japończyków w kwestiach religijnych. Są tam mniejszości muzułmańskie, chrześcijaństwo i nikomu to nie przeszkadza. Nikt nie pyta, w co ktoś wierzy i jaka ta jego religia jest. Tam żadna religia nie dyskryminuje. W Japonii jest wyznawany buddyzm i shintoizm, ale żadna inna religia nie jest tam źle widziana. W domach moich japońskich znajomych były choinki. Oni nie są chrześcijanami, więc ten świąteczny symbol nie ma tam głębszego znaczenia. Jest po prostu dekoracją, bo im się to podoba. Widziałam nawet, że japońskie dzieci dostają pod choinkę prezenty. Oni są tym zwyczajem chyba po prostu zafascynowani. Przejęli to i nie mają

nic przeciwko, żeby funkcjonowało obok wiary, którą sami wyznają. Ale świąt się tam nie obchodzi.

A Sylwester?

- Był dla mnie kolejnym szokiem. W ten dzień zapytałam mojego męża, czy ja się nie pomyliłam i naprawdę jest Sylwester. Potwierdził, że tak. Czegoś nie rozumiałam. Wszędzie panowała absolutna cisza. Nie było fajerwerków, krzyczących ludzi, nikt nie śpiewał, nie było żadnej muzyki. W całej dzielnicy panowała przejmująca cisza - jak w horrorze. Okazało się, że Sylwester jednak jest. Oni go po prostu inaczej spędzają: na modlitwie, zadumie, przemyśleniach. Chodzą do świątyni i kontemplują w zupełnej ciszy. Oczywiście w centrum Tokio można znaleźć jakieś zabawy, ale w tamtejszej kulturze przełom roku spędzany jest w ciszy. Idzie się do świątyni, żeby się pomodlić. To jest czas na przemyślenia nad własnym życiem, na zanoszone wyżej prośby. I to mi się właśnie bardzo podobało, to, że można ten czas spędzić inaczej, że można świętować nie hałasując.

Od dwóch lat mieszkacie państwo w Polsce. Czy możemy się spodziewać kolejnej książki? Książki opowiadającej, jak wygląda Polska w oczach Japończyka.

- Myślę, że byłoby dużo do napisania na ten temat. Mojego męża Polska zszokowała tak samo, jak mnie Japonia. Jako ciekawostkę mogę powiedzieć, że najbardziej zadziwiły go polskie stacje i pociągi. W Japonii ludzie ustawiają się w kolejce do pociągu, więc mój mąż robił to samo, przekonany, że inni też tak zrobią. Przyznam, że po powrocie z Japonii troszeczkę się wstydziałam, korzystając z polskich pociągów. Tam nie używa się w wagonie telefonów komórkowych, jest to zabronione. Nie je się i nie pije w pociągach. Na początku pobytu w Polsce mąż był zszokowany zachowaniem podróżnych, a ja muszę przyznać, że po powrocie z Japonii bardzo mi to też przeszkadza. Przez 3 lata pobytu tam widziałam ludzi rozmawiających przez komórkę w pociągu może 3 razy. I zawsze byli to turyści.

Dziękujemy za rozmowę